

Philip K. Dick

Roog

- Roog! - zawył pies. Oparł łapy na szczycie parkanu i rozejrzał się. Roog zbliżył się do dziedzińca.

Był wczesny ranek i słońce jeszcze na dobre nie wzeszło. Powietrze było zimne i szare, a ściany domu pokryte kroplami wilgoci. Pis lekko rozdziawił pysk, jego wielkie czarne łapy wpiły się w drewno parkanu.

Roog stanął przy otwartej bramie, zaglądając na podwórze. Był to mały Roog, szczupły i biały, na trzęsących się nogach. Mrugnął na psa, a pies wyszczerzył kły.

- Roog! - powtórzył. Dźwięk odbił się echem w milczącym półmroku. Nic się nie poruszyło ani nie obudziło. Pies opadł na cztery łapy i pomaszerował przez podwórze do schodów werandy. Usiadł na najniższym i obserwował Rooga. Roog spojrzał na niego. Następnie wyciągnął szyję w stronę okna, tuż nad sobą. Węszył.

Pies śmignął przez dziedziniec. Uderzył o ogrodzenie, furtka zadrżała i jęknął. Roog pospieszył ścieżką, drobiąc zabawnie. Pies ułożył się przy listewkach furtki, wywalił czerwony ozór i ciężko oddychał. Przyglądał się znikającemu Googowi.

Leżał cicho, jego czarne oczy lustrowały teren. Budził się dzień. Niebo pojaśniało, z zewsząd dobiegły ludzkie głosy dźwięczące w porannym powietrzu. Spoza cieni wyjrzały światła. W chłodnym brzasku otworzyło się okno.

Pies się nie poruszył. Pilnował ścieżki.

W kuchni pani Cordossi nalala wody do czajnika z kawą. Nad naczyniem uniosła się para, oślepiając ją. Postawiła czajnik na brzegu pieca i poszła do spiżarni. Kiedy wróciła, Alf stał w drzwiach kuchni. Złożył okulary.

- Przyniosłaś gazetę? - spytał.

- Jest na zewnątrz.

Alf Cordossi przemierzył kuchnię. Odryglował tylne drzwi i wyszedł na werandę.

Ogarnął wzrokiem szary, wilgotny poranek. Przy bramie leżał Boris, czarny i kudłaty, z wywieszonym językiem.

-Schowaj język - polecił Alf. Pies rzucił mu szybkie spojrzenie. Jego ogon uderzył o ziemię. - Język - rzekł Alf - schowaj język.

Pies i mężczyzna patrzyli na siebie. Pies zaskomlał. Jego oczy były lśniąco i rozgorączkowane.

- Roog! - odezwał się cicho.

- Co? - Alf rozejrzał się. - Ktoś idzie? Gazeciarz?

Pies wlepił weń spojrzenie, otwierając pysk.

- Jesteś ostatnio wyraźnie niespokojny - stwierdził Alf. - Lepiej się rozluźnij. Obaj robimy się zbyt starzy na to, żeby się denerwować.

Wrócił do środka.

Wstało słońce. Ulice pojaśniała i ożywiła się kolorami. Listonosz szedł chodnikiem, niosąc listy i czasopisma. Przebiegło kilkoro dzieci, śmiejąc się i rozmawiając.

Okolo jedenastej pani Cordossi zamiotła frontową werandę. Przerwała na chwilę, wciągając powietrze.

- Ładnie dziś pachnie - powiedziała. - To znaczy, że będzie dziś ciepło.

W upale południa czarny pies leżał rozciągnięty pod gankiem. Jego pierś podnosiła się i opadała. W gałęziach wiśni dokazywały ptaki, skrzecząc i świergocząc. Co

pewien czas Boris unosił głowę i przyglądał się im. Wkrótce jednak wstał i potruczał pod drzewo.

Kiedy już się pod nim znalazł, ujrzał dwa Roogi siedzące na parkanie i obserwujące go.

- Jest duży - powiedział pierwszy Roog. - Większość Strażników nie jest taka duża. Drugi Roog kiwnął chwiejącą się na szyi głową. Boris czuwał bez ruchu, z ciałem zeszywniałym i napiętym. Roogi zamilkły, przyglądając się ogromnemu psu i kudłatej białej krezie na jego szyi.

- Jak tam urna ofiarnicza? - zapytał pierwszy. - Czy jest prawie pełna?

- Tak - przytaknął drugi. - Niemal gotowa.

- Ty, tam! - pierwszy Roog podniósł głos. - Słyszysz mnie? Zdecydowaliśmy się tym razem przyjąć ofiarę. Pamiętaj więc, żeby nas wpuścić. Tym razem bez żadnych głupstw.

- Nie zapomnij - dodał drugi. - To już niedługo.

Boris nie odezwał się.

Dwa Roogi zeskoczyły z płotu i stanęły na dróżce. Jeden z nich wyciągnął mapę, zaczął ją studiować.

- Ten obszar nie jest za dobry na pierwszą próbę - powiedział pierwszy Roog. - Za wielu Strażników... Spójrz, rejon północny...

- Oni zdecydowali - odparł drugi. Jest tak wiele czynników...

- Jasne. - Spojrzeli na Borisa i odsunęli się od ogrodzenia. Nie mógł usłyszeć ich dalszej rozmowy.

Po chwili schowali mapę i ruszyli ścieżką.

Boris podszedł do parkanu i obwąchał deski. Wyczuł niezdrowy, zgniły zapach Roogów i sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

Tego wieczora, gdy Alf Cordossi wrócił do domu, pies stał przy furtce obserwując drogę. Alf otworzył bramkę i wkroczył na podwórko.

- Jak się masz? - spytał klepiąc psa po boku. - Przestałeś się martwić? Wydaje mi się, że ostatnio jesteś nerwowy. Kiedyś taki nie byłeś.

Boris zaskomlał, wpatrując się intensywnie w twarz człowieka.

- Jesteś dobrym psem, Boris - powiedział Alf. - I kawał buka z ciebie. Nie pamiętasz, że dawno temu byłeś szczeniakiem.

Boris oparł się o nogę mężczyzny.

- Jesteś dobrym psem - mruknął Alf. - Chciałbym wiedzieć co myślisz.

Wszedł do domu. Pani Cordossi nakrywała stół do kolacji. Alf wszedł do salonu, zdjął płaszcz i kapelusz. Położył swoje obiadowe pudełko na kredensie i wrócił do kuchni.

- Co się stało? - zapytała pani Cordossi.

- Pies za bardzo hałasuje. Sąsiedzi znowu poskarżą się policji.

- Mam nadzieję, że nie będzie trzeba oddawać go do twojego brata - rzekła pani Cordossi, składając ręce. - Ale to prawda, że wariuje, zwłaszcza w piątek rano, kiedy przychodzą śmieciarze.

- Może się uspokoi - powiedział Alf. Zapalił fajkę i dmuchnął z powagą. - Kiedyś nie był taki. Maże poprawi, będzie jak kiedyś.

- Zobaczymy - rzekła z powagą pani Cordossi.

Wstało słońce, zimne i złowieszcze. Mgła spowijała wszystkie drzewa i snuła się nisko przy ziemi.

Był piątek rano.

Czarny pies leżał pod gankiem, nasłuchując, miał szeroko otwarte oczy i obserwował uważnie otoczenie. Jego futro było sztywne od szronu, a oddech tworzył obłoczki pary. Nagle obrócił głowę i zerwał się na równe nogi.

Z bardzo daleka, z odległego krańca ulicy, dobiegł go słaby dźwięk, coś niby trzask.
- Roog! - Zawył Boris, rozglądając się. Pognał do bramy i stanął na tylnych łapach, przednie opierając o parkan.

W oddali znów rozległ się ten dźwięk, teraz głośniejszy i nie tak odległy jak poprzednio. Trzaskanie i brzęczenie, jak gdyby coś było wtaczane, jakby otwierano jakieś olbrzymie wrota.

- Roog! - zaskomlał Boris. Utkwił niespokojny wzrok w pograżonych w ciemnościach oknach. Nic się nie poruszyło, nic.

Drogą nadjechały Roogi. Ich ciężarówka posuwała się w górę ulicy, trzęsąc się na wybojach, łomocząc i warcząc.

- Roog! - Boris podskoczył z błyszczącymi oczyma. Nagle uspokoił się. Przywarował przy ziemi i czekał, nasłuchując.

Roogi zatrzymały ciężarówkę przed domem. Słyszał, jak otwierają drzwiczki i tupią na chodniku. Boris zatoczył małe kółko. Zaskowyczał, raz jeszcze zwracając pysk w stronę domu.

W ciepłej, ciemnej sypialni pan Cordossi usiadł na łóżku, łupiąc na zegar.

- Ten przeklęty pies - mruknął. - Ten przeklęty pies. - Schował twarz w poduszkę i zamknął oczy.

Roogi już zbliżały się ścieżką. Pierwszy Roog pchnął furtkę. Weszli na podwórko. Pies cofnął się.

- Roog! Roog! - zawył. Odrażający, ostry zapach Roogów dotarł do jego nosa. Odwrócił się.

- Urna ofiarowa - powiedział pierwszy Roog. - Myślę, że jest pełna. - Uśmiechnął się do rozszluszczonego, nieustępliwego psa. - Jak to ładnie z twojej strony.

Roogi podeszły do metalowego pojemnika, jeden z nich zdjął pokrywę.

- Roog! Roog! - wołał Boris przytulony do schodków werandy. Trząśnięcie z przerażenia. Roogi podniosły wielkie metalowe naczynie, przekrzywiając je na bok, zawartość wysypała się na ziemię, a Roogi zaczęły grzebać w przepelnionych workach, oddzielając papiery, wybierając skórki i cząstki pomarańczy, kawałki tostów i skorupki od jajek.

Jeden Roog wrzucił skorupkę jajka do ust. Chrupiąc, zgniótł ją zębami.

- ROOG! - krzyknął rozpaczliwie Boris, prawie do siebie. Roogi skończyły już przyjmowanie ofiary. Zatrzymały się na moment, patrząc na Borisa.

Wtedy powoli, cicho, spojrzały w górę, na ścianę domu, na stiuk, w okno szczelnie zaciągnięte brązową zasłoną.

- Roog! - zapiszczał Boris i rzucił się na nich, tańcząc w furii i przerażeniu. Roogi niechętnie odwróciły się od okna. Wyszły przez bramę, zamykając ją za sobą.

- Spójrz na niego - powiedział ostatni Roog z pogardą, naciągając derkę na ramię.

Boris natarł na ogrodzenie, z otwartym pyskiem, kłapiąc dziko. Największy Roog zaczął gwałtownie wymachiwać ramieniem i Boris wycofał się. Usiadł przy schodkach ganku, wciąż z otwartym pyskiem, z jego piersi dobył się tragiczny, okropny jęk oznaczający rozpacz.

- Chodź - powiedział drugi Roog do pierwszego, który ociągał się przy bramie. Ruszyły aleją.

- Cóż, oprócz tych niewielkich przestrzeni wokół Strażników, ten teren jest dobrze oczyszczony - rzekł największy Roog. - Będę zadowolony, kiedy zrobi się coś z tym jednym. Sprawia dużo kłopotów.

- Nie bądź niecierpliwy - odezwał się inny Roog. Wyszczerył zęby. - Nasza ciężarówka i tak jest pełna. Zostawmy coś na następny tydzień.

Wszystkie Roogi wybuchnęły śmiechem.
Szły dalej aleją, niosąc ofiarę w brudnej, postrzępionej derce.

Posłowie:

Roog - pierwsze sprzedane opowiadanie

Kiedy wreszcie uda ci się sprzedać pierwsze opowiadanie, biegniesz do telefonu i dzwonicz do najlepszego przyjaciela, żeby go o tym zawiadomić. Niestety, przyjaciel odkłada słuchawkę, zanim zdążysz powiedzieć dwa zdania, co mocno cię dziwi, a1e zaraz potem uświadamiasz sobie, że przecież on też usiłuje sprzedać komuś swoje teksty - niestety, jak na razie bez powodzenia. Twoja euforia jakby trochę słabnie, a1e potem do domu wraca żona, przekazujesz jej radosną wiadomość, a ona cieszy się razem z tobą.

Kiedy sprzedałem Rooga Anthony'emu Boucherowi z "Fantasy & Science Fiction", pracowałem w sklepie z płytami, a w wolnych chwilach zajmowałem się pisaniem. Jeśli ktoś mnie pytał, czym się zajmuję, zawsze odpowiadałem: "Jestem pisarzem". Było to w Berkeley, w roku 1951. Wówczas wszyscy byli tam pisarzami, a1e nikt nigdzie nie publikował. Szczerze mówiąc, większość moich znajomych uważała, że drukowanie opowiadań w czasopiśmie jest czymś uwłaczającym godności twórcy. Pisałeś opowiadanie, czytałeś je na głos w gronie przyjaciół, po czym wszyscy o nim zapominali. Tak właśnie żyło się wtedy w Berkeley.

Niełatwo było mi wprawić kogokolwiek w podziw także z tego powodu, że moje dzieło nie było literacką historyjką i nie ukazało się w niskonakładowym ambitnym periodyku, lecz było opowiadaniem SF. W tamtych czasach w Berkeley nie czytało się fantastyki naukowej (nie licząc niedużej, dziwacznej grupki fanów; przypominali żyjące rośliny). "A co z pisaniem na poważnie?" - pytano mnie. Wydawało mi się, że Roog to całkiem poważne opowiadanie. Jest w nim mowa o strachu, lojalności, zagadkowym zagrożeniu oraz o dobrej istocie, nie mogącej ostrzec tych, których kocha. Czy można sobie wyobrazić coś poważniejszego? Przez "poważne" ludzie rozumieli "ważne", SF zaś z definicji nie była ważna. Przez kilka tygodni zwiąłem się ze wstydu na myśl o tym, jak wiele zasad dobrego wychowania zламаłem, sprzedając opowiadanie - na domiar złego opowiadanie SF.

Co gorsza, w moim umyśle zaczęło kiełkować przekonanie, że będę potrafił utrzymać się z pisania. Roilem sobie, że zrezygnuję z pracy w sklepie, kupię lepszą maszynę, będę pisał od świtu do zmierzchu i uda mi się w terminie płacić rachunki. Każdego delikwenta, który zaczyna tak myśleć, powinno zamykać się u czubków. Dla jego dobra. Po wypisaniu taki człowiek przestaje śnić na jawie, wraca do pracy w sklepie płytowym (albo w supermarkecie, albo w charakterze pucybuta). Widzicie, być pisarzem to... Kiedyś zapytałem przyjaciela, czym chce się zająć po ukończeniu college'u, a on mi powiedział: "Będę piratem". Mówił całkiem serio.

Rooga zdołałem sprzedać dzięki Tony'emu Boucherowi, który podpowiedział mi, jakie zmiany powinienem wprowadzić do opowiadania. Gdyby nie on, wciąż handlowałbym płytami. Naprawdę. W tamtych czasach Tony prowadził coś w rodzaju warsztatów literackich w salonie swojego domu w Berkeley. Czytał na głos nasze utwory, dzięki czemu dostrzegaliśmy nie tylko ich potworne wady, a1e również drogi

ratunku. Tony nigdy nikomu nie powiedział wprost, że coś jest do kitu; zawsze starał się dopomóc w przekształceniu tego czegoś w dzieło sztuki. Doskonale wiedział, co to jest dobra literatura. Za swoje usługi liczył sobie (a teraz uwaga!) dolara tygodniowo. Dolara! Jeśli po tej planecie kiedykolwiek chodził naprawdę dobry człowiek, to był nim Anthony Boucher. Szczerze go kochaliśmy. Spotykaliśmy się raz w tygodniu i graliśmy w pokera. Poker, opera i literatura były dla Tony'ego równie ważne. Ogromnie mi go brakuje. W 1974 przyśniło mi się, że znalazłem się na tamtym świecie i że osobą, która mnie tam przywitała, był właśnie Tony. Kiedy myślę o tym śnie, łzy napływają mi do oczu. Czekał na mnie jak żywy, tyle że przemieniony w Tony'ego Tygrysa, jak w reklamie płatków owsianych. W tym śnie był szczęśliwy, i ja też byłem szczęśliwy, ale to tylko sen. Tony Boucher odszedł ja jednak wciąż piszę, właśnie dzięki niemu. Za każdym razem, kiedy siadam do maszyny, myślę o tym człowieku. Nauczył mnie, jak pisać z miłości, a nie dla zaspokojenia ambicji. Wszystko powinno robić się w ten sposób.

To opowiadanie jest o psie - prawdziwym psie, który już nie żyje, jak Tony. W rzeczywistości nazywał się Snooper i wierzył w swoje powołanie co najmniej równie mocno jak ja w swoje. Jego powołanie (wedle wszelkich oznak) polegało na tym, żeby nie dopuścić do tego, by ktokolwiek okradł śmietnik jego państwa. Snooper był święcie przekonany, że państwo traktują śmieci jako coś niezwykle cennego; bądź co bądź, codziennie wynosili przeróżne smakołyki zapakowane w papierowe torby, pieczołowicie umieszczali je w solidnym metalowym pojemniku, po czym starannie zamykali pokrywę. Pod koniec tygodnia, kiedy pojemnik był pełen, wielkim samochodem przyjeżdżały najstraszliwsze potwory, jakie kiedykolwiek widziano w Układzie Słonecznym, i zabierały bezcenny skarb. Snooper doskonale wiedział, którego dnia następowała katastrofa: w piątek. W związku z tym w każdy piątek około piątej rano Snooper zaczynał czekać. Domyślił się z żoną, że mniej więcej o tej samej porze dzwoniły budziki przy łóżkach śmieciarzy. Snooper doskonale wiedział, kiedy te potwory wychodziły ze swoich domów. Słyszał ich. Tylko on jeden zdawał sobie sprawę z zagrożenia; cała reszta żyła w błogiej nieświadomości. Snooper zapewne przypuszczał, że urodził się na planecie zamieszkałej przez kretyńców. Jego państwo, a także wszyscy mieszkańcy Berkeley, doskonale słyszeli zbliżających się śmieciarzy, a mimo to nikt nie podejmował żadnego działania. Jego ujadanie co tydzień doprowadzało mnie do szaleństwa, a 1e jednocześnie fascynowała mnie logika, którą kierował się w swoim postępowaniu. Dręczyło mnie pytanie: Jak nasz świat wygląda w oczach mego psa? Z pewnością zupełnie inaczej niż w naszych. Stworzył sobie kompletny system przekonań. światopogląd całkowicie różny od naszego, lecz doskonale spójny logicznie - rzecz jasna, jeśli wziąć pod uwagę przesłanki, jakimi się kierował.

Oto od czego, mówiąc w największym skrócie, zaczęła się moja trwająca już dwadzieścia siedem lat kariera pisarska: od próby wejścia do głowy innej istoty i spojrzenia na świat jej oczami. Im bardziej różni się od nas ta istota, tym lepiej. Zaczynasz od najprostszego tworu dysponującego świadomością i opisujesz jego świat. Rzecz jasna, nigdy nie odtworzysz go ze stuprocentową dokładnością, ale wydaje mi się, że zdołasz wysunąć przynajmniej kilka prawdopodobnych hipotez. Stopniowo zaczęło ogarniać mnie przekonanie, iż każda istota żyje we własnym świecie, odmiennym od światów zamieszkałych przez inne istoty. Wciąż w to wierzę. Dla Snoopera śmieciarze byli straszliwymi, niebezpiecznymi potworami; jestem przekonany, że całkiem dosłownie postrzegał ich zupełnie inaczej niż my, ludzie. Nie wszyscy podzielali mój pogląd. Tony Boucher poprosił znaną autorkę wielu antologii (nazwiemy ją J. M.) o przeczytanie Rooga. Miał nadzieję, że znajdzie się

dla niego miejsce w którymś z przygotowywanych przez nią zbiorów. Jej reakcja ogromnie mnie zaskoczyła. "Śmieciarze wcale tak nie wyglądają - odpisała. - Nie mają cienkich karków i kotłujących się głów, nie pożerają też ludzi ". Zdaje się, że wyliczyła ponad dziesięć błędów w moim opisie śmieciarzy. Odpowiedziałem, że owszem, ma rację, ale z punktu widzenia psa... Pies się oczywiście myli. Poza tym ma trochę świra na tym punkcie. Tu nie chodzi o jakiegoś tam psa i o jego poglądy na temat śmieciarzy, ale o psa-wariata, którego do szaleństwa doprowadziły cotygodniowe najazdy na śmietnik. To pies-desperat. Pragnąłem to pokazać. W gruncie rzeczy właśnie o tym jest opowiadanie: biedaczysko znalazł się w ślepych zaułku, regularnie powtarzający się akt destrukcji wpędził go w szaleństwo. Inne Roogi doskonale zdawały sobie z tego sprawę. Były zachwycone. Drażniły biedaka. Karmiły się jego ogłupieniem.

Panna J. M. nie wzięła powiadania do antologii, ale Tony wydrukował je i od tego czasu wciąż jest wznawiane. Trafiło nawet do podręczników dla szkół średnich. Rozmawiałem kiedyś z dziećmi, które je przerabiała, i okazało się, że wszystkie doskonale rozumieją jego przesłanie, a najlepiej pojął je pewien niewidomy chłopiec. Od początku wiedział, co oznacza słowo Roog. Wielokrotnie doświadczał niemal identycznej rozpacz, bezradnej wściekłości i goryczy porażki. Całkiem możliwe, że gdzieś między rokiem 1951 a 1971 wszyscy dorośliśmy do niebezpieczeństw i przekształceń tego, co zwyczajne, a na co wcześniej nie zwracaliśmy uwagi. Nie wiem. Tak czy inaczej, Roog jest utworem biograficznym. Obserwowałem cierpienie psa, częściowo rozumiałem (ale nie do końca), co go gnębi, i chciałem dać temu wyraz w jego imieniu. To wszystko jest w opowiadaniu. Snooper nie potrafił mówić; ja potrafiłem. Mogłem to nawet zapisać, kto inny z kolei mógł to wydrukować, żeby ludzie o nim przeczytali. Właśnie na tym polega pisarstwo: autor staje się rzecznikiem tych, którzy nie mają głosu. Nie mówisz swoim głosem, lecz głosami tych wszystkich, których zazwyczaj nie słychać.

Snooper nie żyje, ale pies z opowiadania, Boris, cieszy się dobrym zdrowiem. Tony Boucher nie żyje, ja też kiedyś umrę, i wy także, ale wtedy, w roku 1971, kiedy rozmawiałem z uczniami o Roogu (również dwadzieścia lat po tym, jak sprzedałem je Boucherowi), ujadanie, lęk i szlachetne wysiłki Snoopera ożyły na nowo, na co zresztą sobie zasłużył. To opowiadanie jest moim podarunkiem dla zwierzaka, który już niczego nie widzi i nie słyszy, który już nie szczeka, ale, do jasnej cholery, robił, co do niego należało. Nawet jeśli panna J.M. nie była w stanie tego zrozumieć. (1978)

Kocham to opowiadanie. Wątpię, czy teraz piszę lepiej niż wtedy, w 1951; moje teksty są tylko dłuższe, i tyle.

Philip K. Dick
